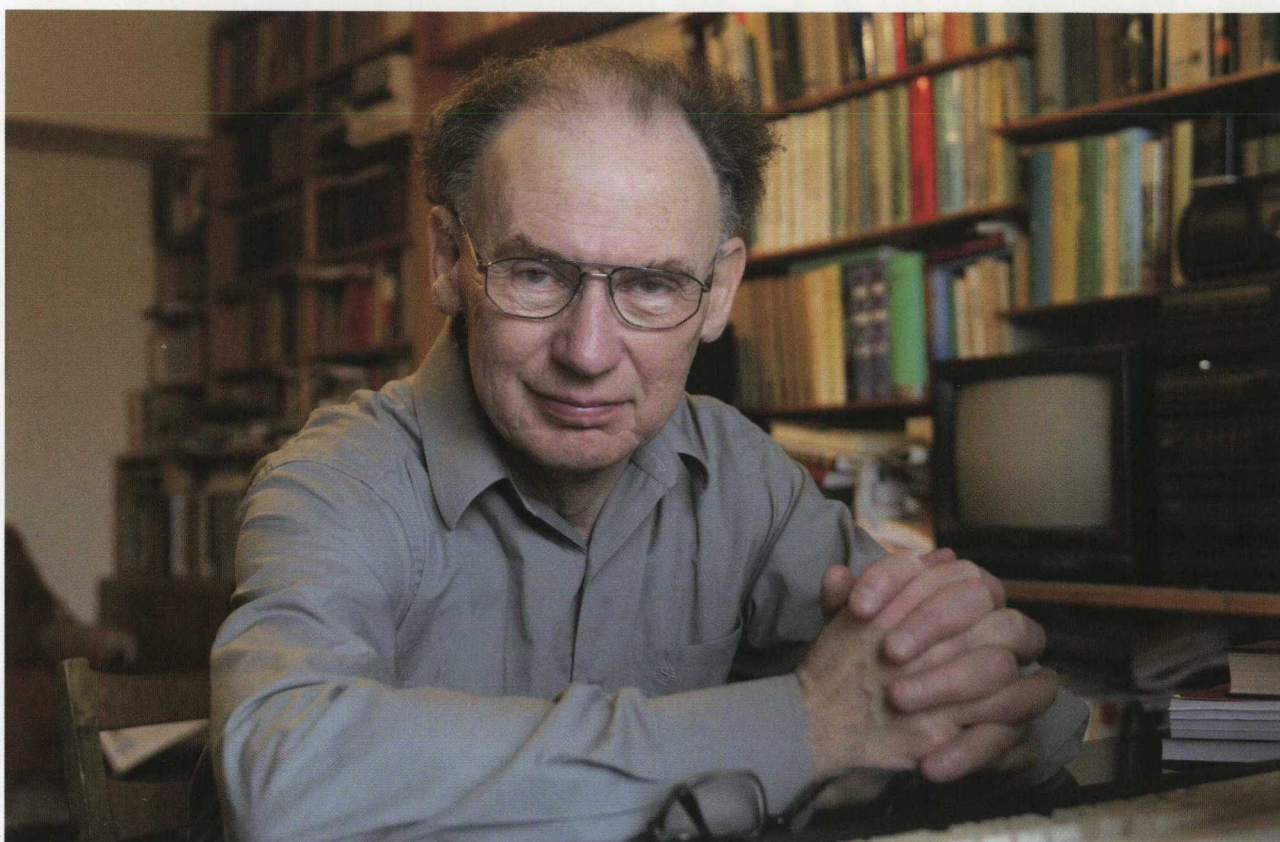


Wywiad z prof. Michałem Głowińskim

# Linie graniczne



Jakub Ostrowski/Fotorepa

Profesor Michał Głowiński w swojej domowej bibliotece liczącej kilka tysięcy książek

**Academia:** Jak zostałeś teoretykiem literatury?

**Michał Głowiński:** *W liceum byłem bardzo złym uczniem. Przedmioty matematyczno-przyrodnicze bardzo źle mi szły, ale sporo czytałem i stwierdziłem, że chcę mieć coś wspólnego z literaturą. Nie bardzo wiedziałem co, ale już w wieku 14-15 lat wiedziałem, że pójdę na takie studia, które będą się łączyły z literaturą.*

Zdecydowałeś się na Uniwersytet Warszawski, na Wydział Polonistyki.

Siłą rzeczy wybrałem polonistykę, bo mi się wydawało, że to będzie tylko

*czytanie ładnych książek. Omyliłem się, bo to nie było tylko czytanie ładnych, czyli ciekawych książek, ale nie żałuję, że wybrałem takie studia. W liceum miałem bardzo dobrą nauczycielkę polskiego. Nazywała się Alina Żarska. Prowadziła ciekawe lekcje, a to nie był dobry czas dla ciekawych lekcji. Kiedy byłem w szkole, nastąpiła radykalna i nagła stalinizacja, jednak łagodzona przez to, że jeszcze uczyli nauczyciele, którzy byli wykształceni przed wojną. Ich opór przeciwko tamtemu wulgarnemu marksizmowi to łagodził. To się zmieniło w parę lat później, kiedy do szkoły poszli moi rówieśnicy. Bo myśmy byli tak kształceni na uniwersytecie - studia zacząłem*

*w '51 roku - że to był marksizm w najgorszym wydaniu.*

Zatem studia na uniwersytecie to było wejście w świat bardzo zideologizowany.

*Często te nasze ćwiczenia prowadzili partyjni studenci z innych wydziałów. W jednym ze swoich opowiadań opisałem taką panią, którą nazwałem towarzyszką Kawon. Naprawdę nazywała się inaczej, ale używała nazwiska Nowak i to odwróciłem. To byli okropni, prymitywni ludzie, często zupełni nieucy. Pamiętam pierwszy wykład z ekonomii, który prowadził jakiś profesor, którego nazwaliśmy „5 razy nie”: nie profesor, nie doktor, nie Jan itd. To był wykład*

kursowy dla całego wydziału filologicznego. I przyszedł niepozorny starszy pan, który go zastąpił. Mówił zupełnie inną, normalną, piękną polszczyzną i potem się okazało, że ekonomia jest ciekawa. Miał tylko trzy wykłady. Tym starszym panem był profesor Edward Lipiński [profesor ekonomii, jeden z założycieli Komitetu Obrony Robotników w 1975 roku – przyp. red.].

A jak trafiłeś do Polskiej Akademii Nauk?

Miałem szczęście, że w 1955 roku Kazimierz Budzyk, wtedy młody profesor, zakładał nową katedrę na UW, Katedrę Teorii Literatury. Jego żona wskazała Janusza Sławińskiego i mnie. Miałem przez dwa czy trzy lata stypendium na uniwersytecie, a potem prof. Budzyk wystarał się o pracę dla mnie w Instytucie Badań Literackich. I od 1 października 1958 roku aż do emerytury pracowałem w IBL-u, czyli 46 lat. Przeszedłem tam całą drogę naukową, od asystenta do członka rzeczywistego PAN.

Napisałeś, oprócz ważnych książek z teorii literatury, w tym głośnych o nowomowie PRL-u, opowieści nawiązujące do Twojej biografii.

Od wczesnej młodości zamierałem napisać wspomnienia niezupełnie z dzieciństwa – z czasu Zagłady, to brzmi zbyt patetycznie – o moich doświadczeniach. Jestem rocznik 1934, więc już dobrze pamiętałem. Mam doświadczenia pobytu w getcie. Najpierw byłem w getcie pruszkowskim, ale krótko, dwa-trzy miesiące. To było maleńkie getto i Niemcy szybko je zlikwidowali. A potem w getcie warszawskim i, jak to się pięknie mówi, po aryjskiej stronie. Ale byłem za młody. Myślałem, że zabiorę się do pisania tego, jak będę stary, jak będę miał 50 lat. Wybiło mi 50 lat, a ja jeszcze byłem zupełnie niegotowy.

Twoja pierwsza książka wspomnieniowa, „Czarne sezony”, ukazała się w 1998 roku.

Tak, ale zacząłem pisać w 1993 roku, czyli miałem prawie 60 lat. Właściwie nawet nie wiedziałem, czy piszę dla publiczności, czy do szuflady. No, ale w końcu pokazałem to Markowi Kupiszewskiemu, a także znajomemu krytykowi teatralnemu Januszowi Majcherkowi i oni obydwaj zaczęli mnie namawiać, żebym to wydrukował. Pierwszy kawałek ukazał się w poznańskim piśmie „Arkusze”. I okazało się nagle, że wielu ludzi to przeczytało i mieli bardzo pozytywne uwagi. Opowiadanie nazywa się „Emil” i podobno jest jednym z lepszych w tej książce. [Jest to historia o wybitnie zdolnym chłopcu z kompletów w getcie, który zginął i o którym pamięć mógł zachować tylko Autor, jedyny żyjący świadek – przyp. red.]. Zresztą niedawno miałem w związku z nim niezwykłą historię, bo odezwała się do mnie osoba, z którą Emil był skoligacony. Pewna pani, Polka czy polska Żydówka mieszkająca w Holandii, która się urodziła już po wojnie, bo ojciec tego chłopca przeżył i ożenił się z kobietą, której mąż Zagłady nie przeżył, i miał z nią nowe dziecko. Właśnie tę panią. Ona wiedziała, że ma przyrodniego brata, który zginął z matką w warszawskim getcie. Po latach do tego opowiadania dotarła i do mnie napisała. Spotkałem się z nią, kiedy była w Warszawie.

W każdym razie mogę napisać epilog tego opowiadania.

Potrafisz się zdobyć na dystans do tego, co przeżyłeś.

Kiedy się pisze o tych rzeczach, pojawiają się różne niebezpieczeństwa. Jest niebezpieczeństwo takiego rozżalonego sentymentalizmu, kiczu, który się w tego typu literaturze bardzo rozpowszechnia, czy wręcz panoszy. Nie chcę wskazywać żadnej książki, ale to jest pisanie efekciarskie, często pretensjonalne. Pisząc takie rzeczy, jestem świadomym historykiem literatury, więc staram się tego unikać. To jest coś bardzo niebezpiecznego dla tego typu literatury. Na przykład budowanie dość efektownych fabuł – tego trzeba unikać. Muszę powiedzieć, że mnie dość zaskoczyło, że ta książka została dobrze przyjęta. Właściwie jej już nie ma na rynku od lat i różne osoby mnie pytają, kiedy będzie wznowiona, ale, niestety, nie ode mnie to zależy. Zależy od wydawnictwa. Ale książka została przełożona na cztery języki: szwedzki, czeski, włoski i angielski, co uważam za swój sukces. Mnie by zależało, żeby ukazała się po niemiecku. W tym języku ukazały się inne moje opowiadania: „Magdalenka z razowego chleba”. Przełożył je wybitny pisarz



Uroczystość XXX-lecia Instytutu Badań Literackich PAN. Od lewej: Roman Zimand, Janina Jachowa, Izabela Jarosińska, Michał Głowiński, Ryszard Górski, Ryszard Nycz

Martin Pollack, a tych „Czarnych sezonów” jakoś nikt nie chce. Do mnie się zgłaszało pięć tłumaczek. Każdej odpowiadałem to samo – zgadzam się, tylko niech pani znajdzie wydawnictwo. Żadna się już nie odezwała, żadna nie znalazła...

Jesteś uważnym obserwatorem zmian, jakie dokonywały się w polskiej polonistyce od lat 50.

Wybitna polonistka Maria Rzeuska po Październiku, w 1957 roku, ogłosiła w „Tygodniku Powszechnym” bardzo alarmistyczny artykuł o stanie polonistyki. Jej zdaniem ta dyscyplina została potwornie „zgangrenowana”. Mówiła, że jej rówieśnicy – to było takie ważne dla polonistyki pokolenie uczonych urodzonych około roku 1910 – dali się całkowicie skorumpować. Potem przyszła generacja urodzonych w latach 20. szalonych marksistów. Oni jej zdaniem byli spisani na straty, bo to fanatycy, szkodnicy, ludzie niemający pojęcia o tym, co to jest nauka. No i pokolenie niby najmłodsze, moje, też skazane na wszystko, co najgorsze, bo było źle kształcone. To był artykuł bardzo ostro napisany.

Ja o tym piszę szeroko w książce, którą przygotowałem teraz do druku. Jeśli chodzi o prognozę z 1957 roku, to ona się zupełnie nie sprawdziła, dlatego że poloniści wrócili do bardzo dobrej formy, a młodzi poloniści, pokolenie z lat dwudziestych, pokolenie Marii Janion i Henryka Markiewicza, okazali się wybitnymi uczonymi. O moim pokoleniu trudno mi mówić, ale przynajmniej jeśli chodzi o polonistów – na pewno nie było pokoleniem straconym.

Moje pokolenie w dużej mierze reagowało na marksizm. Wiedzieliśmy, że nie można tego kontynuować, trzeba znaleźć coś innego. I tu było kilka tradycji. Przede wszystkim był rosyjski formalizm i czeski strukturalizm, czyli pierwszy naprawdę wielki dwudziestowieczny kierunek w nauce o literaturze. Z innej strony była tradycja hermeneutyczna. Dalej była teoria dzieła literackiego Romana Ingardena, rzecz



Spotkanie polonistów z Polski i świata na zjeździe zorganizowanym przez Uniwersytet Warszawski i Polską Akademię Nauk w maju 1995 roku

zupełnie osobna, wielka koncepcja, której nie można było stosować w całości, ale niezwykle inspirująca.

Prace badaczy z IBL-u wyznaczają niesłychanie wysokie standardy dla całego środowiska.

Historia IBL-u jest przyczynkiem do historii pewnej części polskiej inteligencji. IBL powstał w 1948 roku jako bojówka marksistowska przeciwko starej profesurze, przeciwko tak zwanemu idealizmowi w nauce i tak dalej. Zaczęłem pracę, jak już wspominałem, 1 października 1958 roku i w ogóle już się z tym nie zetknąłem, tam naprawdę było swobodnie. Trzeba powiedzieć, że to była zasługa Stefana Żółkiewskiego, który wciąż patronował temu instytutowi, to była zasługa Kazimierza Wyki, to była zasługa Marii Renaty Mayenowej. Tam naprawdę uprawiano nauki humanistyczne, to było całkowicie zdeideologizowane. I tam się stała ciekawa rzecz. Od pewnego momentu niemal zaczęły zanikać różnice między dawnymi marksistami a moimi kolegami i mną, którzy marksistami nigdy nie byli. Ta

linia graniczna zaczęła zanikać, a całkowicie zniknęła w 1968 roku. Myślę, że to jest przyczynek do dziejów inteligencji, prawda? Inteligencji starszej ode mnie, która otarła się o komunizm i która umiała to całkowicie zneutralizować albo z tego wyjść. To, że tak się działo, było również wynikiem tego, że Instytut był przedmiotem nieustannych ataków. Były one organizowane przez pewne grupy polonistów, przede wszystkim z Uniwersytetu Warszawskiego, a tam szefem polonistyki był Jan Zygmunt Jakubowski. Naukowo zero wy. Potem okazał się moczarowcem, opowiadał studentom, że nie jest antysemitą, bo lubi wiersze Leśmiana. Miał takich oprychników, którzy go wspomagali. Natomiast nasz Instytut współpracował w doskonałej harmonii z niemal wszystkimi uniwersytetami polskimi, Jagiellońskim, poznańskim, Wrocławskim, a nawet z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Przyszła 1968 rok, ataki potęgowały się. W samym Instytucie rok '68 nie miał konsekwencji. Czystki Moczarowskie, jak wiadomo, zaczęły się od wydawnictw, redakcji, potem uniwersytetów, nato-

miast nie zdążyły dojść do instytutów PAN-u, bo zostały przyhamowane. W instytucie niczego takiego nie było. Była to jedna z nielicznych instytucji, gdzie w Marcu odbyło się zebranie protestujące przeciwko biciu studentów.

Jaki jest tytuł nowej książki, w której opisujesz te i inne zdarzenia?

„Kręgi obcości”. Ja już na rzeczy patrzę z perspektywy sędziwego emeryta, polonistyka jest dziś zupełnie inna niż ta, z którą czułem się i nadal czuję związany. To, co dla nas było nowością, jest przez niektórych określane jako archaika zupełna. Chodzi głównie o strukturalizm. To jest ciekawa sprawa, dlatego że ruch strukturalistyczny, który w Polsce w nauce o literaturze był silny i oryginalny – bo w pewnych wypadkach wcześniejszy od tego, co się działo na Zachodzie – dzisiaj jest przez niektórych traktowany jako wytwór Polski Ludowej. Co jest absurdem. Rzeczywiście, w Polsce Ludowej w dużej części nauka była zideologizowana. A strukturalizm to był wielki wysiłek zmierzający do całkowitego odideologizowania nauki. Dzisiaj mówi się, że było to wyłącznie zajmowanie się sprawami powierzchniowymi, formą. To prawda, tylko że bez tych rzeczy nie można się zajmować poważnie tą dziedziną wiedzy. Wiem, że gdybym nie zajmował się poetyką i nie miał solidnego warsztatu z tej dziedziny, to nie mógłbym opisywać języka propagandy komunistycznej, bo bym nie miał po temu narzędzi, po prostu nie umiałbym tego robić. A nikt mi nie powie, że zajmowanie się językiem, jakim przemawiali władcy Polski Ludowej, jakim pisano w gazetach i mówiono w radio, to jest eskapizm.

Czy chodzi o autobiograficzne kręgi obcości?

Tak, tak. Kręgi obcości to są wyłącznie moje sprawy osobiste. Książka jest poświadczana jako relacja bardzo osobista. Ale dbałem o to, żeby to nie była relacja ekshibicjonistyczna. Próbowalem też pisać o środowiskach, w których się

obracałem, trochę o ludziach, z którymi się stykałem, ale oczywiście jest to książka w pewnym sensie prywatna.

Z prywatności czerpiesz w wielu książkach. Piszesz o miejscu urodzenia – Pruszkowie, o sąsiadach, o relacjach Polaków i Żydów. Unikasz w nich negatywnych generalizujących opinii.

Życie zawdzięczam zakonnikom katolickim. Nie mogę nic złego mówić generalnie. Mogę mówić o księdzu Bujalskim. To był człowiek, który się minął z powołaniem. Sam opowiadał, że wolalby raczej być lekarzem czy adwokatem, ale jego matka złożyła przysięgę, że jej pierworodny syn zostanie księdzem. Był katechetą w szkole podstawowej w Pruszkowie po 1945 roku, kiedy dobiegał siedemdziesiątki. Ten ksiądz był opętany antysemityzmem. Potem w liceum uczyli dwaj kolejni księża, których nazwiska w tej książce wspominam z pełnym szacunkiem.

Trudno jednak powiedzieć, że antysemityzm w Polsce nie jest problemem.

Piszę o tym w tej książce w związku z Zagładą. Że są takie dwa mity: jeden to jest mīt o tym (rozpowszechniany w Marcu), że wszyscy Polacy jak jeden mąż mieli tylko jedną rzecz na względzie – pomagać mordowanym Żydom. A drugi idiotyzm to idiotyzm żydowski, mówiący, że Polacy są narodem antysemitów. Piszę tam, że z oboma mitami trzeba zrobić to samo – wyrzucić na śmietnik.

Mam do czynienia z ludźmi młodego pokolenia, którzy powielają antysemityczne stereotypy.

To czasem nic nie znaczy. Napisałem opowiadanie „U fryzjera”. Taka rozmowa z młodym chłopakiem, 25-latkim. Opowiadał jakieś straszne rzeczy, a ja potem pytałem, czy on widział Żyda. Powiedział: tak, jest trzech Żydów, którzy przeszkadzają mi w biznesie. Był przekonany, że oni są Żydami, dlatego że mu przeszkadzają! To był rok 1991.

Spytałem go, czy widział realnego Żyda. Jeśli nie, powiedziałem, to pan teraz widzi i niech pan już nic nie gada. Ale to tak jest, bo przecież realni Żydzi nie są do tego potrzebni.

O swoim pochodzeniu przez lata nie mówiłem. Od połowy lat 90. mówię stale: w gazetach, w radio, w telewizji. Mam najnormalniejszych w świecie sąsiadów i oni to muszą wiedzieć. Nie spotkałem się z żadną oznaką niechęci. Wprost przeciwnie. Zgłosił się do mnie sąsiad (jest w moim wieku) z taką historią, że pochodzi z chłopskiej rodziny spod Biłgoraja, widział zagładę Żydów i chce o tym opowiedzieć, chce, żeby ktoś go nagrał. Powiedziałem mu – mam znajomego, który pracuje w Karcie, oni się głównie tym zajmują, skontaktuj pana. No i tak się stało.

Rozmawiała

Anna Zawadzka

Warszawa, 23 stycznia 2010 r.

**Michał Głowiński**, wybitny polski badacz i teoretyk literatury. Członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Opublikował ok. 30 książek, m.in. „Porządek, chaos, znaczenie” (1968), „Powieść młodopolska” (1969), „Style odbioru” (1977), „Czarne sezony” (1998), „Historia jednej topoli” (2003), „Fabuły przerwane” (2007). Autor książek dotyczących języka propagandy komunistycznej: „Nowomowa po polsku” (1990), „Marcowegadanie. Komentarze do słów 1966–1971” (1991), „Peereliada. Komentarze do słów 1976–1981” (1993), „Pismak 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach” (1995), „Mowa w stanie oblężenia” (1996). W 2000 doktor honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, w 2001 Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, w 2003 Uniwersytetu Opolskiego; laureat m.in. Nagrody Herdera (2004).